

LUCY MAUD MONTGOMERY

**ANNE  
Z ZIELONYCH  
SZCZYTÓW**

PRZEŁOŻYŁA ANNA BAŃKOWSKA

MARGINESY

*Anne of Green Gables*

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Anna Bańkowska  
COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Oddając Czytelniczkom i Czytelnikom nowy przekład jednej z najbardziej kultowych powieści, jestem świadoma „zdrady” popełnianej wobec pokolenia ich matek i babć, do których zresztą zaliczam też siebie. Tak jest – razem z wydawcą tego przekładu doszliśmy do wniosku, że w czasach, kiedy wszystkie dzieci wiedzą, że żadna mała Kanadyjka nie ma na imię Ania, Janka czy Zosia, a żaden Kanadyjczyk nie nosi imienia Mateusz czy Karolek, pora przywrócić wszystkim, nie tylko wybranym (jak w poprzednich przekładach), bohaterkom i bohaterom książki ich prawdziwe imiona, nazwom geograficznym na Wyspie Księcia Edwarda zaś ich oryginalne brzmienie. Podejmując się kolejnego przekładu (a w ostatnich latach nastąpił prawdziwy ich wysyp), postawiłam sobie za cel jak najściślejszą wierność wobec oryginału i realiów życia w wiosce Avonlea, która chociaż fikcyjna, miała jednak swój pierwowzór w prawdziwej miejscowości Cavendish. Odwiedziłam w tym celu liczne fora internetowe, blogi i grupy na Facebooku poświęcone życiu i twórczości Lucy Maud Montgomery. Należą do nich osoby, które doskonale znają wszystkie jej książki, także w oryginale, i od lat analizują nowe prze-

kłady, bezlitośnie demaskując nawet najmniejsze błędy i nieścisłości. Każda z nich ma swoje zdanie na przykład w kwestii tłumaczenia nazwy „Green Gables”, od ponad stu lat znanej w Polsce jako „Zielone Wzgórze”. W sieci dostępne są zdjęcia z PEI (Prince Edward Island), można więc sobie obejrzeć, jak wyglądają słynne „czerwone drogi” czy odtworzona na podstawie opisu w książce i korespondencji autorki farma rodzeństwa Cuthbertów. Dzięki uprzejmości Bernadety Milewski (autorki bloga „Kierunek Avonlea”), która nie tylko jest kopalnią wiedzy o LMM, zna na wyrywki wszystkie jej książki i tropi w nich z dociekliwością detektywa wszystkie autobiograficzne wątki, ale też co roku spędza na PEI kilka miesięcy i współpracuje z L.M. Montgomery Literary Society, mogłam dowiedzieć się, jak istotne dla autorki było słowo *gable*. Niestety nazwa ta już od pierwszego przekładu sprawiała tłumaczom kłopoty. *Gable* po angielsku to termin architektoniczny oznaczający trójkątną ścianę łączącą dwie części dwuspadowego dachu. Po polsku jest to „szczyt”. Słowo „szczyt” Polakom kojarzy się głównie z górami, dlatego już pierwsza tłumaczka zmieniła oryginalne Green Gables na Zielone Wzgórze, które tak wryło się w pamięć kolejnych pokoleń, że aż do tej pory nikt nie odważył się zbadać, czy tam w ogóle było jakieś wzgórze. Otóż nie było. Ale to nie dlatego zdecydowałam się zrobić wyłom w tradycji i nazwać ten dom Zielone Szczyty. Zrobiłam to po tym, jak przyjrzałam się na zdjęciach tamtejszemu budownictwu, w którym właśnie te szczyty najbardziej rzucają się w oczy. Niektóre domy mają ich po kilka; istnieje książka Nathaniela Hawthorne’a pod tytułem *The House of Seven Gables* [Dom o siedmiu szczy-

tach], którą L.M. Montgomery czytała w roku 1903. Swoją pokój w domu dziadków Macneillów, u których się wychowała, nazywała zawsze *gable room* i tę nazwę (*east gable room*) nadała też pokoikowi Anne. Było to dla niej niemal magiczne miejsce, o którym napisała nawet kilka wierszy. W swoich pamiętnikach wspomina, jak bardzo cierpiała, kiedy zimą musiała sypiać na dole, bo jej *gable room* nie był ogrzewany. W tłumaczeniach nazywano go zwykle „pokoiem na facjatce” albo „na poddaszu”. Tymczasem był to po prostu pokój na pierwszym piętrze, z oknem we wschodniej (trójkątnej) ścianie szczytowej. Obok niego znajdował się pokój gościnny, a po przeciwnej stronie – pokój Marilli oraz *west gable room* (pokój w zachodnim szczycie). Wyżej był już tylko strych (tam Anne wyniosła podręczniki po zakończeniu roku szkolnego i urządziła próby deklamacji z jękami).

| 7

Podsumowując, przyznaję się do winy: zabiłam Anię, zburzyłam Zielone Wzgórze i pozbawiłam je pokoiku na facjatce. Proszę jednak o łagodny wymiar kary, zważywszy na to, że ktoś kiedyś musiał się podjąć tego niewdzięcznego zadania.

Za absolutnie bezcenne informacje serdecznie dziękuję Bernadecie Milewskiej, autorce bloga „Kierunek Avonlea”, oraz Panu Stanisławowi Kucharzykowi, który od lat bada florę PEI, a swoją wiedzę dzieli się na blogu „Zielnik L.M. Montgomery”. To on jest pomysłodawcą nieoficjalnej (bo oficjalnej brak) polskiej nazwy *mayflowers* (majowniki), ulubionych kwiatów LMM [*Epigaea repens*], o których autorka często wspomina w swoich książkach.

Anna Bańkowska

Pamięci mojego ojca i matki

*Szczęśliwe gwiazdy z twego horoskopu  
Stworzyły ciebie z ducha, ognia, rosy.*

Robert Browning, *Evelyn Hope*

ROZDZIAŁ I  
*w którym zdumiewa się pani Rachel Lynde*

PANI RACHEL LYNDE mieszkała dokładnie w tym miejscu, gdzie główna droga Avonlea wpadała w niewielką dolinę porośniętą olszyną i niecierpkim. Strumień, który ją przecinał, wypływał ze źródła w lasach graniczących z dawną posiadłością Cuthbertów i chociaż w swoim górnym biegu zachowywał się dość niesforne, tworząc to mroczne rozlewiska, to kaskady, przed Dołkiem Lynde'a wyraźnie się reflektował, jakby wiedział, że w pobliżu tak szacownego domostwa nawet leśny strumyk powinien pamiętać o dobrych manierach. Być może czuł na sobie bystre oko pani Rachel, która ze swego posterunku przy oknie pilnie baczyła na wszystko, co się porusza, poczynwszy od strumyków, a skończywszy na dzieciach. I jeśli tylko zauważyła coś niezwykłego, póty nie zaznała spokoju, póki nie wysledziła co, dlaczego i jak.

Zarówno w Avonlea, jak gdzie indziej nie brakuje osób, które tak bardzo interesują się cudzymi sprawami, że zaniedbują swoje własne, ale pani Rachel świetnie umiała pogodzić jedno z drugim. Cieszyła się opinią znakomitej gospodyni – w jej domu wszystko zawsze chodziło jak w zegarku – poza tym wodziła rej w kółku krawieckim, pomagała w prowadzeniu szkółki niedzielnej, była też fila-

rem parafialnego Kółka Dobroczynnego i Stowarzyszenia Pomocy dla Misji Zagranicznych. Mimo to znajdowała dość czasu na przesiadywanie przy kuchennym oknie, gdzie całymi godzinami dziergała na drutach bawełniane narzuty (podobno wyprodukowała ich już szesnaście, jak szeptały po kątach sąsiadki), mając przy tym oko na główną drogę, która przecinała dolinkę i wiała się dalej zakosami po stromym czerwonym wzgórzu. Ponieważ Avonlea leżała na trójkątnym półwyspie wrzynającym się w Zatokę Świętego Wawrzyńca, każdy, kto ze wsi wyjeżdżał lub do niej przybywał, musiał z owej drogi skorzystać i tym samym nie mógł umknąć uwagi wszystkowiedzącej pani Rachel.

Siedziała tam także pewnego popołudnia na początku czerwca, grzejąc się w promieniach słońca wpadającego przez okno. Sad na zboczu przed domem spowijała białoróżowa chmura kwiecia, w którym uwijały się setki brzęczących pszczół. Thomas Lynde – potulny człowieczek, nazywany przez sąsiadów „mężem Rachel Lynde” – właśnie siał późną rzepę na zagonie za stodołą i to samo powinien robić też Matthew Cuthbert z Zielonych Szczytów na swoim wielkim polu za domem. Pani Rachel wiedziała, że powinien, bo poprzedniego dnia w sklepie Williama Blaira w Carmody słyszała na własne uszy, jak Matthew mówił do Petera Morrisona, że nazajutrz będzie siał rzepę. Oczywiście Peter go o to zapytał, bo Matthew Cuthbert znany był z tego, że nie lubi odzywać się sam z siebie.

A tu proszę: jest godzina wpół do czwartej powszedniego dnia, a Matthew Cuthbert jedzie sobie w najlepsze przez dolinę, w dodatku ma biały kołnierzyk i odświętne ubranie – jawny dowód, że udaje się poza Avonlea. Jedzie



bryczką z kasztanką, co oznacza, że ma do pokonania sporą odległość. Dokąd też się wybiera i po co? Oto jest pytanie.

Gdyby chodziło o każdego innego mieszkańca Avonlea, pani Rachel szybko dodałaby dwa do dwóch i miała gotową odpowiedź na obydwa pytania. Ale Matthew Cuthbert tak rzadko ruszał się z domu, że musiało się wydarzyć coś pilnego i niezwykłego; był najbardziej nieśmiałym mężczyzną na świecie i nie znośił przebywać wśród obcych ani tam, gdzie musiałby coś mówić. Wystrojony w biały kołnierzyk Matthew na koźle bryczki to naprawdę nieczęsty widok, a pani Rachel, chociaż długo łamała sobie głowę, nie mogła za nic rozwiązać tej zagadki. Doprawdy, całe popołudnie zepsute!

„Po prostu wpadnę po podwieczorku do Zielonych Szczytów i dowiem się od Marilli, dokąd pojechał i po co – zdecydowała w końcu ta roztropna niewiasta. – Przecież nie zwykł jeździć do miasta o tej porze roku, a już na pewno nigdy nie składa wizyt; gdyby zaś mu zabrakło nasion rzepy, nie stroiłby się tak i nie brał bryczki. Jechał jednak niezbyt szybko, więc raczej nie po lekarza... mimo to od wczoraj musiało się u nich coś wydarzyć. To bardzo intrygująca sprawa i nie zaznam chwili spokoju, dopóki nie odkryję, co też wyciągnęło dziś z domu Matthew Cuthberta”.

Tak więc zaraz po herbacie pani Rachel wyruszyła w drogę. Nie miała daleko; obszerne, zatopione w zieleni domostwo Cuthbertów leżało zaledwie ćwierć mili od Dołka Lynde'a, chociaż od głównego traktu dzieliła je jeszcze długa boczna ścieżka. Ojcu Matthew Cuthberta, równie nieśmiałemu i małomównemu jak on sam, zależało na osiedleniu się jak najdalej od bliźnich, aczkolwiek nie

w samym lesie. Dom o nazwie Zielone Szczyty wybudowano więc na samym końcu karczowiska i stał tam po dziś dzień, ledwie widoczny z traktu, przy którym skupiły się wszystkie inne avonleaskie gospodarstwa. Zdaniem pani Rachel Lynde życie na takim odludziu nie zasługiwało na miano życia.

14 | – Nudy na pudy, nie życie, ot co! – mamrotała do siebie, brnąc przez trawiastą ścieżkę pomiędzy krzewami dzikiej róży. – Trudno nie zauważyć, że mieszkając tutaj, Matthew i Marilla sami nieco zdziwaczeli. Drzewa nie zastąpią towarzystwa, chociaż gdyby tak było, nie mogliby uskarżać się na jego brak. Osobiście wolę patrzeć na ludzi, ale Cuthbertowie robią wrażenie całkowicie zadowolonych, po prostu do tego przywykli. Jak mawiał pewien Irlandczyk, ludzkie ciało może przyzwyczaić się nawet do stryczka.

Wygłosiwszy tę uwagę, pani Rachel wkroczyła dziarskim krokiem na tylne podwórko Cuthbertów. Było ono bardzo zielone, a przy tym utrzymane w nienagannym porządku. Z jednej strony ograniczały je wielkie stare wierzby, a z drugiej rząd wyprężonych na baczność topoli. Ani śladu zabłąkanego patyka czy kamyczka – już pani Rachel z pewnością by je wypatrzyła. W skrytości ducha uważała, że Marilla Cuthbert równie często zamiata podwórko jak pokoje. Można było tam spokojnie jeść prosto z ziemi.

Pani Rachel zapukała do kuchennych drzwi, a kiedy usłyszała „Proszę”, weszła do środka. Kuchnia w Zielonych Szczytach mogłaby uchodzić za wesołą, gdyby nie jej przeziębienie do bólu czystość, przez którą sprawiała wrażenie nieużywanego salonu. Miała okna na wschód i zachód; przez to zachodnie, wychodzące na podwórze, wlewało

się teraz do wnętrza łagodne czerwcowe słońce, natomiast za wschodnim widać było sad z wiśniowymi drzewami w chmurze białego kwiecia oraz smukłe, oplecione zielonym bluszczem brzozy pochylone nad strumieniem. To przy tym oknie siadywała Marilla Cuthbert (jeśli w ogóle znalazła na to czas), zawsze nieco podejrzliwie odnosząc się do słońca, jej zdaniem zbyt rozdokazywanego i nieodpowiedzialnego jak na ten świat, który przecież powinno się traktować serio. I tu właśnie siedziała teraz z drutami w ręku, mając za plecami nakryty do kolacji stół.

| 15

Pani Rachel, zanim porządnie zamknęła za sobą drzwi, zdążyła zapisać w pamięci wszystko, co znajdowało się na stole. Stały tam trzy nakrycia. Trzy – a więc Marilla spodziewała się, że Matthew przywiezie jakiegoś gościa. Choć jednak codzienne talerze, domowa marmolada z rajskich jabłuszek i tylko jeden rodzaj ciasta świadczyły o niezbyt uroczystym charakterze owej wizyty. W takim razie co znać ten biały kołnierzyk Matthew i bryczka z kasztanką? Pani Rachel miała już w głowie istny mętlik od tych zagadek związanych z cichymi i bynajmniej niezagadkowymi Zielonymi Szczytami.

– Dobry wieczór, Rachel – rozległ się cierpki głos Marilli.  
– Jest naprawdę piękny, nie sądzisz? Siadaj, proszę, i mów, co tam u was.

Z panią Rachel zawsze łączyło Marillę Cuthbert coś w rodzaju przyjaźni, i to pomimo – a może właśnie z powodu – poważnej różnicy charakterów.

Marilla była wysoką, chudą kobietą bez żadnych zaokrągleń. Czarne włosy z kilkoma pasmami siwizny zwykła upinać w ciasny kok, przebity bezlitośnie na wylot dwiema

szpilkami. Wyglądała na osobę o skromnym doświadczeniu i sztywnych zasadach, którą zresztą była, ale w kącikach jej ust czaiło się coś, co gdyby miało szansę choć trochę się rozwinąć, można by uznać za poczucie humoru.

– U nas wszystko w porządku – odrzekła pani Rachel – ale trochę zaniepokoiłam się dziś o ciebie. Wiesz, kiedy zobaczyłam, że Matthew gdzieś wyjeżdża, to pomyślałam sobie, że może po lekarza?

16 | Usta Marilli drgnęły nieznacznie, bo właściwie czekała na panią Rachel. Wiedziała, że widok Matthew w bryczce bez wątpienia rozpali do czerwoności ciekawość sąsiadki.

– Ach, nie, czuję się całkiem nieźle, chociaż wczoraj bardzo bolała mnie głowa. Matthew pojechał do Bright River. Postanowiliśmy wziąć chłopca z sierocińca w Nowej Szkocji i właśnie dziś trzeba go odebrać z pociągu.

Pani Rachel nie mogłaby się bardziej zdziwić, nawet gdyby usłyszała, że Matthew ma odebrać z dworca australijskiego kangura. W pierwszej chwili po prostu odjęło jej mowę. To nie do pomyslenia, żeby Marilla robiła sobie z niej żarty, a jednak...

– Ty... ty tak na serio? – spytała, odzyskawszy po paru sekundach głos.

– Oczywiście – odparła Marilla takim tonem, jakby sprowadzanie chłopców z sierocińca w Nowej Szkocji nie było żadnym niesłychanym wymysłem, a wręcz należało do stałych prac wiosennych w każdej szanującej się farmie w Avonlea.

Poważnie zszokowana pani Rachel myślała teraz samymi wykrzyknikami. Chłopiec! Marilla i Matthew Cuthbertowie (akurat oni!) adoptują chłopca! Z sierocińca! No cóż,

ten świat najwyraźniej zwariował! Teraz już nic jej nie zaskoczy! Nic a nic!

– Co też, u licha, strzeliło wam do głowy?

Powzięli tę decyzję bez zasięgnięcia jej rady, co już samo w sobie zasługiwało na naganę.

– No... zastanawialiśmy się nad tym od dłuższego czasu, właściwie przez całą zimę. Gdzieś przed Bożym Narodzeniem wpadła tu z wizytą pani Alexandrowa Spencer i napomknęła, że na wiosnę zamierza wziąć dziewczynkę z sierocińca w Hopetown. Mieszka tam jej kuzyn i pani Spencer przy okazji odwiedzin zdobyła wszystkie potrzebne informacje. Od tej pory ciągle wracaliśmy z Matthew do tego tematu, aż uradziliśmy, że też weźmiemy sierotę, ale chłopca; Matthew jest coraz starszy, skończył już sześćdziesiąt lat, i po prostu brakuje mu sił. Ma też poważne kłopoty z sercem, a wiesz, jak trudno dziś zdobyć kogoś do pomocy. Można liczyć tylko na tych głupich francuskich niedorostków, co to jak tylko się czegoś nauczą, natychmiast uciekają do przetwórni homarów albo do Stanów. Matthew z początku sugerował, żeby sprowadzić kogoś ze starego kraju, ale ja się twardo sprzeciwiłam. „Nie trzeba nam tu londyńskich uliczników – powiedziałam. – Jeśli już, niech to będzie tutejszy dzieciak. To i tak ryzyko, ale spałabym spokojniej, mając pod swoim dachem rodowitego Kanadyjczyka”. W końcu postanowiliśmy, że poprosimy panią Spencer, żeby wybrała dla nas kogoś, kiedy będzie jechała po tę swoją dziewczynkę. I właśnie w zeszłym tygodniu usłyszeliśmy, że się po nią wybiera, więc wysłaliśmy jej wiadomość przez rodzinę Richarda Spencera z Carmody. Poprosiliśmy o bystrego chłopaczka około jedenastu lat...

to najlepszy wiek: będzie dostatecznie duży, żeby się do czegoś przydać, a na tyle młody, by dał się odpowiednio wychować. Chcemy mu zapewnić dobry dom i wykształcenie. Dziś listonosz przyniósł depeszę od pani Spencer, że przyjadą pociągiem o piątej trzydzieści, więc Matthew pojechał po chłopca, który ma czekać na stacji, bo oczywiście pani Spencer jedzie dalej, do White Sands.

18 | Pani Rachel chlubiła się tym, że zawsze mówi, co myśli, nie owijając niczego w bawełnę. Tak samo zamierzała postąpić i teraz, toteż od razu przystąpiła do rzeczy:

– Cóż, moja Marillo, szczerze powiem, że popełniacie okropne głupstwo, ot co! Sami nie wiecie, w co się pakujecie! To przecież straszne ryzyko. Bierzecie do domu obcego dzieciaka, o którym absolutnie nic wam nie wiadomo: ani o jego skłonnościach, ani o rodzicach, ani co z niego może wyrosnąć. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu czytałam w gazecie o pewnym małżeństwie z zachodniej części wyspy, które przygarnęło chłopca z sierocińca, a on pewnej nocy podpalił im dom! Tak, Marillo, o mały włos nie spłonęli żywcem we własnych łóżkach! Słyszałam też o innym przypadku – podobno jakiś adoptowany chłopiec zwykł wypijać jajka i nikt nie umiał go od tego odzwyczaić. Gdybyście się mnie wcześniej poradziła, co jednak nie przeszło wam przez myśl, od razu zakłęłabym was na wszystkie świętości, żebyście sobie wybili ten pomysł z głowy, ot co!

Żadna z tych hiobowych wieści najwyraźniej nie poruszyła Marilli, która spokojnie robiła dalej na drutach.

– Nie przeczę, Rachel, jest w tym ziarno prawdy. Sama miałam wątpliwości, ale Matthew tak bardzo na tym zależało, że w końcu mu ustąpiłam. On tak rzadko się przy

czymś upiera, że po prostu uważałam za swój obowiązek się zgodzić. A co do ryzyka... to przecież podejmujemy je dosłownie na każdym kroku. Ludzie, decydując się na urodzenie własnych dzieci, skoro już o tym mowa, nie zawsze dobrze na tym wychodzą. Zresztą Nowa Szkocja jest tak blisko naszej wyspy, że tamtejsi mieszkańcy nie mogą się bardzo od nas różnić. To nie to co Anglicy albo Amerykanie.

– No cóż, miejmy nadzieję, że wszystko będzie w porządku. – Ton, jakim pani Rachel wypowiedziała te słowa, wskazywał raczej na coś wręcz przeciwnego. – Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałam, jeśli ten chłopiec puści was z dymem albo wrzuci strychninę do studni... słyszałam o takim wypadku w Nowym Brunszwiku, podobno cała rodzina umarła w strasznych męczarniach. Co prawda, tam zrobiła to dziewczynka.

– Przecież my nie bierzemy dziewczynki – obruszyła się Marilla, jak gdyby zatrucie studzien było wyłącznie damską specjalnością. – Nigdy by mi to nie przyszło do głowy i dziwię się pani Spencer, że się zdecydowała. No ale ona, gdyby się uparła, zaadoptowałyby cały sierociniec.

Pani Rachel najchętniej zostałaaby w Zielonych Szczytach aż do powrotu Matthew z tym importowanym chłopcem, ale uznawszy, że może to nastąpić za dobre dwie godziny, postanowiła wpaść jeszcze do Roberta Bella, aby podzielić się nowiną. Z pewnością wywoła to wielką sensację, a pani Rachel uwielbiała wzbudzać sensację. Zaczęła więc się zbierać do wyjścia, ku pewnej uldze Marilli, która pod wpływem pesymizmu sąsiadki poczuła, że zaczynają wzbierać w niej takie same wątpliwości.

– No i kto by się spodziewał czegoś takiego?! – wybuchnęła pani Rachel, gdy tylko dotarła do głównej drogi. – To niemożliwe, ja chyba śnię. Zresztą szczerze żal mi tego sieroty. Przecież Matthew i Marilla nie mają pojęcia o wychowywaniu dzieci. Na pewno będą chcieli, żeby był mądrzejszy i stateczniejszy od własnego dziadka... założywszy, że w ogóle miał takowego. Dziecko w Zielonych Szczytach! To się w ogóle nie mieści w głowie, tam nigdy nie było dzieci! Kiedy Cuthbertowie wybudowali ten nowy dom, Matthew i Marilla byli już dorośli... Zresztą wystarczy na nich spojrzeć, czy oni w ogóle mogli być dziećmi? Oj, nie chciałabym znaleźć się w skórze tego chłopca. Mogę mu tylko współczuć, ot co!

Te wszystkie żale pani Rachel wylewała na razie przed krzakami dzikiej róży, ale gdyby zobaczyła dziecko, które w tej samej chwili cierpliwie czekało na stacji w Bright River, jej współczucie jeszcze by się pogłębiło.



MATTHEW CUTHBERT i jego kasztanka pokonali bez przeszkód ponad osiem mil dzielące Avonlea od Bright River. Przyjemna droga wśród zadbanych gospodarstw od czasu do czasu zagłębiała się w balsamiczny jodłowy las czy dolinkę, nad którą dzikie śliwy zwieszały swoje ukwiecone gałązki. Powietrze przesyciła słodka woń licznych sadów jabłoniowych i bezkresnych łąk tonących w perłowofioletowej mgłę, gdzie

Ptactwo tak głośno wyśpiewywało,  
Jak gdyby lato dzień tylko trwało.\*

Matthew na swój sposób rozkoszował się przejażdżką z wyjątkiem tych momentów, w których musiał kłaniać się przechodzącym kobietom; na Wyspie Księcia Edwarda jest bowiem zwyczaj pozdrawiania wszystkich napotykanych osób, bez względu na to, czy się je zna czy nie.

Matthew bał się wszystkich kobiet poza Marillą i panią Rachel; zawsze miał niejasne wrażenie, że te zagadkowe isto-

\* James Russell Lowell, *The Vision of Sir Launfal* [Wizja sir Launfala]. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

ty wyśmiewają się z niego za plecami. I może nie do końca się mylił, gdyż rzeczywiście wyglądał na dziwaka ze swoją przygarbioną posturą, siwymi włosami do ramion i bujną brązową brodą, którą zapuścił już jako dwudziestoletni młodzieniec. Prawdę rzekłszy, już wtedy – z wyjątkiem siwizny – wyglądał prawie tak jak teraz, z sześćdziesiątką na karku.

Kiedy dotarł do Bright River, po pociągu nie było ani śladu. W pierwszej chwili pomyślał, że przyjechał za wcześnie, przywiązał więc klacz na podwórku pobliskiego hoteliku i przez budynek dworca wyszedł na długi peron. Był on zupełnie pusty, tylko na drugim końcu, na stosie gontów siedziała jakaś dziewczynka – jedyna żywa istota w zasięgu wzroku. Matthew wyminął ją szybkim krokiem, nie zaszczycając nawet przelotnym spojrzeniem. Gdyby jednak się na to zdobył, musiałby zauważyć, że na jego widok dziewczynka wyraźnie zeszytniała, a na jej twarzy pojawił się wyraz napięcia. To dziecko na coś lub na kogoś czekało, a ponieważ nie miało nic lepszego do roboty, wkładało w to oczekiwanie całą swą duszę i wszystkie siły.

Matthew złapał zawiadowcę stacji w ostatniej chwili, kiedy ten zamykał kasę biletową, zbierając się do domu na kolację. Na pytanie, czy wiadomo mu coś o pociągu z piątej trzydzięści, miał gotową odpowiedź:

– Ten pociąg odjechał już pół godziny temu. Wsiadła z niego tylko jedna pasażerka, która właśnie na pana czeka. Siedzi tam, na gontach. Proponowałem, żeby weszła do poczekalni dla pań, ale poinformowała mnie z całą powagą, że woli zostać na zewnątrz, bo jak się wyraziła: „tu ma więcej pola do wyobraźni”. Zabawny z niej dzieciak, powiadam panu...

- Ale ja nie oczekuję żadnej dziewczynki - odparł ze zdumieniem Matthew. - Przyjechałem po chłopca, pani Spencer miała go tu przywieźć z Nowej Szkocji...

Zawiadowca gwizdnął przeciągle.

- Znaczy się zaszła pomyłka. Bo pani Spencer wysiadła z pociągu tylko z tą dziewczynką, którą przekazała mi pod opiekę. Powiedziała, że pan i pańska siostra macie ją adoptować i że pan niebawem ją odbierze. To wszystko, co wiem, i na pewno nie ukrywam tu żadnych innych sierot.

- Nic z tego nie rozumiem - wymamrotał bezradnie Matthew, żałując, że nie ma z nim Marilli. Ona już wiedziałaby, jak wybrnąć z tej sytuacji.

- Najlepiej niech pan wypyta samą dziewczynkę - zasugerował beztrzesko zawiadowca. - Z pewnością potrafi to wyjaśnić, bo gadać to ona umie, oj, umie. Może nie mieli na składzie takich chłopców, jakich sobie życzyliście.

Był już porządnie głodny, więc odszedł w swoją stronę, pozostawiając biednego Matthew z zadaniem trudniejszym, niż gdyby miał wkroczyć do jaskini lwa: musiał bowiem podejść do dziewczynki - obcej dziewczynki, w dodatku sieroty - i zapytać ją, dlaczego nie jest chłopcem! Aż jęknął w duchu, ale dzielnie zawrócił i powlókł się peronem w stronę sterty gontów.

Dziewczynka obserwowała go już od chwili, kiedy koło niej przechodził, i teraz też nie spuszczała z niego wzroku. Matthew na nią nie patrzył, a gdyby nawet patrzył, to i tak nie umiałby powiedzieć o niej nic szczególnego. Natomiast przeciętny obserwator zobaczyłby jedenastoletnie dziecko w za krótkiej, za ciasnej i bardzo brzydkiej sukience z szarozółtej lichej wełenki i w podniszczonym brązowym kape-

luszu, spod którego opadały na plecy dwa grube, ogniście rude warkoczki. Miała bladą, mocno piegowatą twarzyczkę o dużych ustach i równie dużych oczach, które zależnie od oświetlenia wydawały się to zielone, to szare.

24 | Tyle ze strony przeciętnego obserwatora; jednak ktoś bardziej spostrzegawczy zwróciłby jeszcze uwagę na to, że dziewczynka ma spiczasty i bardzo wystający podbródek, że owe wielkie oczy błyszczą ożywieniem, że usta są wyraziste i pełne słodczy, a czoło wysokie. Krótko mówiąc, ów domniemany bystry obserwator doszedłby do wniosku, że ciało tego bezdomnego podlotka, którego tak bezsensownie obawiał się Matthew Cuthbert, musi kryć w sobie absolutnie nieprzeciętną duszę.

Los oszczędził mu mąk nawiązywania rozmowy, bo gdy tylko dziewczynka zorientowała się, że Matthew zmierza w jej stronę, wstała i chwyciwszy jedną chudą rączką podniszczoną staroświecką torbę, drugą wyciągnęła na powitanie.

– Zapewne pan Matthew Cuthbert z Zielonych Szczytów? – zagadnęła wyjątkowo czystym, melodyjnym głosem. – Bardzo się cieszę, że pana widzę. Już się bałam, że pan po mnie nie przyjedzie, i zachodziłam w głowę, co też mogło się stać. Wreszcie postanowiłam, że jeśli nie zjawi się pan dzisiaj, to spędzę noc na tamtej kwitnącej wiśni za zakrętem. Wcale bym się nie bała, bo jakże cudownie byłoby spać w tej chmurze białego kwiecia przy blasku księżyca, nie sądzi pan? Można by sobie wyobrazić, że się mieszka w marmurowym pałacu... No i byłam zupełnie pewna, że jeśli nie dziś, to jutro rano jednak się pan zjawi.

Matthew niezdarnie uściśnął tę chuderławą rączkę i w tym momencie zdecydował jedno: za nic w świecie nie

powie temu dziecku o roziskrzonych oczach, że zaszła pomyłka. Zabierze je do domu i niech Marilla weźmie to na siebie. Zresztą i tak nie mógłby zostawić dziewczynki w Bright River, więc wszelkie pytania i wyjaśnienia można spokojnie odłożyć, dopóki mała nie znajdzie się bezpiecznie w Zielonych Szczytach.

– Przepraszam, że się spóźniłem – rzekł nieśmiało. – Chodźmy, koń czeka na podwórku. Daj mi tę torbę.

– Ależ nie ma potrzeby! – wykrzyknęła wesoło dziewczynka. – Chociaż mam w niej cały swój ziemski dobytek, wcale nie jest ciężka. A jeśli nie trzymać jej w pewien specjalny sposób, to odpada jej rączka. Ja mam już wprawę, dlatego wolę sama ją nosić. To bardzo stara torba, wie pan, uszyto ją z kawałka dywanu... Och, jak się cieszę, że jednak pan przyjechał, chociaż na pewno miło jest zasnąć na wiśniowym drzewie. Czeka nas długa droga, nieprawdaż? Pani Spencer mówiła, że aż osiem mil! To dobrze, bo uwielbiam jazdę. Ach, jak to cudownie, że będę z wami mieszkać, że wreszcie będę mieć dom! Nigdy jeszcze tak naprawdę do nikogo nie przynależałam. A już najgorszy ze wszystkiego był ten sierociniec. Przebywałam tam tylko cztery miesiące, ale wystarczyło. Nie sądzę, żeby pan kiedyś był sierotą z przytułku, więc nie wie pan, jak to jest. Trudno sobie wyobrazić coś gorszego... Pani Spencer uważa, że to niegodziwie z mojej strony, że tak mówię, ale ja wcale nie chcę być niegodziwa. To tak łatwo zrobić coś złego niechcący, prawda? Właściwie to oni nawet byli dobrzy, ci opiekunowie, tylko tam jest tak mało pola do wyobraźni! Są tylko te inne sieroty. I owszem, to bardzo ciekawe wyobrażać sobie różne rzeczy na ich temat, na przykład że

dziewczynka obok ciebie jest córką hrabiego, wykradzioną w dzieciństwie rodzicom przez okrutną piastunkę, która umarła, zanim zdążyła wyznać swoją winę. Czasem zamiast spać w nocy wyobrażałam sobie takie historie, bo w dzień nie miałam na to czasu. Pewnie dlatego jestem taka strasznie chuda... bo jestem, prawda? Sama skóra i kości. Tak lubię wyobrażać sobie siebie jako przyjemnie zaokrągloną, z dołeczkami na łokciach...

26 | Tu pasażerka Matthew umilkła, trochę dlatego, że zabrakło jej tchu, ale także dlatego, że akurat doszli do bryczki. Nie odezwała się już ani słowem, dopóki nie wydostali się z miasteczka i nie zaczęli zjeżdżać ze stromego wzgórza drogą, która tak głęboko wrzyniała się w miękką glebę, że gałęzie wiśni i smukłych brzoź po jej bokach zwieszały się zaledwie kilka stóp nad ich głowami.

Dziewczynka wyciągnęła rękę i ułamała gałązkę dzikiej śliwy, która otarła się o bok pojazdu.

– Prawda, jakie to piękne? Z czym kojarzy się panu to drzewo wychylające się z brzegu drogi, całe w tej koronkowej bieli?

– Yyy... Sam nie wiem – bąknął Matthew.

– No przecież z panną młodą! Cała w bieli, z tym ślicznym welonem z mgły... Wprawdzie nie widziałam nigdy panny młodej, ale łatwo ją sobie wyobrazić. Ja raczej nigdy nie będę panną młodą. Przecież nikt nie poślubiłby takiego niczego jak ja, no chyba że jakiś zagraniczny misjonarz. Misjonarze nie powinni być szczególnie wybredni... Ale może białą suknię będę kiedyś miała, to dla mnie najwyższy ideał ziemskiego blasku. Uwielbiam piękne stroje. Sama nigdy w życiu nie miałam ładnej sukienki, ale tym

bardziej mam o czym marzyć, prawda? I potrafię sobie wyobrazić siebie we wspaniałej kreacji. Kiedy opuszczalam sierociniec, tak strasznie wstydziałam się tej okropnej starej kiecki. Tam wszystkie dziewczynki takie noszą. Podobno jakiś handlarz z Hopetown podarował przytułkowi trzysta jardów tego materiału. Niektórzy mówili, że to dlatego, że nie mógł go sprzedać, ale ja wolę wierzyć, że po prostu miał dobre serce, a pan? Kiedy wsiedliśmy do pociągu, wszyscy patrzyli na mnie ze współczuciem, więc zaraz wyobraziłam sobie, że mam na sobie przepiękną suknię z błękitnego jedwabiu – no bo jak już puści się wodze fantazji, to na całego – i ogromny kapelusz, cały w kwiatach i piórach, i złoty zegarek, i rękawiczki, i wysokie buciki. Od razu zrobiło mi się weselej i mogłam naprawdę cieszyć się tą podróżą na wyspę. Na statku ani trochę nie chorowałam, pani Spencer także, chociaż zwykle choruje. Powiedziała, że nie ma na to czasu, bo musi pilnować, żebym nie wypadła za burtę. I że w życiu nie widziała takiej wiercipięty jak ja. Ale skoro uchroniło ją to od choroby morskiej, to chyba dobrze się stało? A ja tylko chciałam wszystkiemu dobrze się przyjrzeć, bo nie wiem, czy będę jeszcze miała okazję płynąć statkiem. Och, co za masa kwitnących wiśni! Ta wyspa jest chyba najbardziej ukwieconym miejscem na świecie! Już ją kocham i tak się cieszę, że tu zamieszkam! Zawsze słyszałam, że Wyspa Księcia Edwarda jest przepiękna, i lubiłam wyobrazać sobie, że na niej zamieszkam, ale nigdy nie sądziłam, że tak się stanie. To takie cudowne, kiedy się okazuje, że coś, co człowiek sobie tylko wyobrażał, istnieje naprawdę! Ale te czerwone drogi są bardzo dziwne. Kiedy wsiedliśmy do pociągu w Charlottetown i zaczęły migać

za oknem, zapytałam panią Spencer, skąd taki kolor. Ale odpowiedziała, że nie wie i że bym, na miłość boską, dała już spokój z tymi pytaniami. Podobno zadałam ich z tysiąc. Pewnie tak, ale jak inaczej mam się dowiedzieć różnych rzeczy? No więc dlaczego te drogi są czerwone?

– Hmm, naprawdę nie wiem.

28 | – Cóż, w takim razie to jedna z tych rzeczy, które kiedyś muszę odkryć. Czy to nie wspaniałe, że tyle jeszcze jest do odkrycia? Dzięki temu cieszę się, że żyję, świat jest taki interesujący! A nie byłby ani w połowie taki, gdybyśmy wiedzieli wszystko o wszystkim, prawda? Nie zostałyby już ani odrobiny miejsca na wyobraźnię, czyż nie? Ale, ale, czy ja przypadkiem nie za dużo gadam? Bo wszyscy mi to zarzucają. Wolałby pan, że bym przestała? Jeśli tak, to proszę powiedzieć, ja potrafię się do tego zmusić, chociaż to takie trudne...

Matthew jednak, ku swemu zdumieniu, słuchał jej z prawdziwą przyjemnością. Jak większość małomównych osób, lubił słuchać cudzej gadaniny, pod warunkiem że nie oczekiwano od niego odpowiedzi. Ale nigdy by się nie spodziewał, że tak dobrze będzie się czuł w towarzystwie małej dziewczynki. Dorosłe kobiety są dostatecznie złe, ale dziewczynki jeszcze gorsze. Nie cierpiał, kiedy przemykały koło niego chyłkiem, rzucając ukradkowe spojrzenia, jakby się bały, że je pożre żywcem, jeśli tylko odważą się przemówić. To jednak były dobrze wychowane dziewczynki z Avonlea, natomiast ta piegowata czarodziejka tak bardzo się od nich różniła, że chociaż był niezbyt lotnym człowiekiem i nie od razu nadażał za jej paplaniną, naprawdę chętnie jej słuchał.



– Och, możesz sobie mówić do woli – odrzekł jak zawsze nieśmiało. – Mnie tam to nie przeszkadza.

– O, jak się cieszę! Już widzę, że pan i ja będziemy się świetnie rozumieli. To taka ulga, jeśli można mówić, kiedy się chce, i nikt nie wygłasza uwag w rodzaju, że dzieci powinno się widzieć, a nie słyszeć. Powtarzano mi to milion razy, gdy tylko się odezwałam. Ludzie się ze mnie śmieją, bo podobno używam „wielkich słów”. Ale jeśli ma się górnolotne myśli, to jak je inaczej wyrazić?

– No... To ma jakiś sens.

– Pani Spencer mówi, że mój język „lata jak łopata”. Ale to nieprawda, jest zupełnie dobrze przymocowany. Mówiła też, że wasza farma nazywa się Zielone Szczyty. Prosiłam, żeby mi o niej opowiedziała, ale wspomniała tylko, że jest otoczona drzewami. Bardzo się ucieszyłam, bo kocham drzewa, a koło sierocińca rosły tylko jakieś rachityczne karzełki z pobielonymi wapnem pniami. Same wyglądały jak sieroty i zawsze chciało mi się płakać na ich widok. Mówiłam do nich: „Och, wy biedactwa! Gdybyście urodziły się w lesie, pośród innych drzew, gdyby wasze korzenie otulał zielony mech i dzwonki, gdyby obok szumiał strumyk, a w waszych gałęziach śpiewały ptaki, na pewno byście urosły, prawda? Ale tutaj nie dacie rady, już ja dobrze wiem, co czujecie”. Żał mi było zostawiać je tamtego dnia. Człowiek przywiązuje się do takich rzeczy, czyż nie? A czy w pobliżu Zielonych Szczytów jest jakiś strumyk? Zapomniałam spytać o to panią Spencer.

– O tak, zaraz poniżej domu.

– Cudownie! Zawsze chciałam mieszkać nad strumykiem, ale do głowy mi nie przyszło, że to marzenie się speł-

ni. Marzenia nieczęsto się spełniają, a szkoda, prawda? Jak by to było miło! Ale teraz czuję się prawie szczęśliwa. Tylko prawie, bo... bo... No jak nazwałby pan ten kolor?

I chwyciwszy jeden ze swoich warkocz, pokazała go Matthew.

– Chyba rudy, no nie?

Dziewczynka odrzuciła warkocz na plecy z tak ciężkim westchnieniem, że zdawało się wydobywać z czubków jej palców u nóg i nieść z sobą wszystkie troski tego świata.

30 |

– Taak, rudy – przyznała z rezygnacją. – Teraz pan wie, dlaczego nie mogę być w pełni szczęśliwa. Nikt, kto ma rude włosy, nie może się nazwać szczęśliwym. Już mniejsza o inne rzeczy, jak piegi, zielone oczy i chudość, z tym jakoś sobie radzę. Potrafię sobie wyobrazić, że mam cerę jak płatek róży i fiołkowe oczy piękne jak gwiazdy, ale choćbym nie wiem jak się starała, nie umiem zapomnieć o rudych włosach. Wmawiam sobie na przykład: „Twoje włosy są lśniące czarne, czarne jak skrzydła kruka...”, ale nic to nie pomaga, cały czas wiem, że są po prostu rude, i to mi łamie serce. To będzie moje życiowe zmartwienie. Czytałam w jednej powieści o dziewczynce, która też miała życiowe zmartwienie, ale nie z powodu rudych włosów. Jej włosy były w kolorze czystego złota i spływały z alabastrowego czoła. Co to jest alabastrowe czoło? Nigdy nie udało mi się tego dowiedzieć, a może pan wie?

– N-nie... Obawiam się, że nie... – odrzekł niepewnie Matthew, któremu zaczynało już kręcić się w głowie. Ostatni raz czuł się tak w dzieciństwie, kiedy na pikniku jakiś kolega namówił go na karuzelę.

– Cóż, pewnie to coś naprawdę ładnego, bo ona była bosko piękna. Czy kiedykolwiek wyobrażał pan sobie, jak to jest być bosko pięknym?

– Hmm... No nie.

– A ja bardzo często. Co by pan wolał: być bosko pięknym, olśniewająco mądrym czy anielsko dobrym?

– No... Sam nie wiem doprawdy.

– Ja też! Nigdy nie mogę się zdecydować. Ale to chyba bez różnicy, bo i tak nie mam szans być żadną z tych osób. A już na pewno nie będę anielsko dobra. Pani Spencer mówi, że... Ooch, panie Cuthbert! Panie Cuthbert!! Paanie Cuthbert!!!

| 31

Ani pani Spencer nic podobnego nie powiedziała, ani dziewczynka nie wypadła z bryczki, ani też Matthew nie zrobił nic zaskakującego. Po prostu w tym momencie wyjechali zza zakrętu i znaleźli się w Alei.

Aleją mieszkańcy Newbridge zwykli nazywać kilkusetjardowy odcinek drogi, którą dawno temu jakiś ekscentryczny farmer obsadził z obu stron jabłoniemi. Z czasem rozrosły się one tak, że z ich splątanych gałęzi powstał rodzaj sklepienia, teraz zaś, kiedy drzewa zakwitły, jechało się tamtędy jak w jakimś białym, pachnącym tunelu. Pod gałęziami panował już łagodny fioletowy zmierzch, a widoczne na dalekim końcu niebo lśniło niczym ogromna witrażowa rozeta nad portalem katedry.

Piękno tego miejsca sprawiło, że dziewczynce po prostu odjęło mowę. Opadła na oparcie, splotła przed sobą ręce i ze zwróconą ku górze twarzą chłonęła chciwie biały cud. Nawet kiedy już minęli Aleję i zjeżdżali długimi zakosami do Newbridge, siedziała nieruchomo, nie odzywając się ani

słowem, ze wzrokiem utkwionym w rozświetlony horyzont na zachodzie, jak gdyby przed jej oczami przesuwaly się jakieś wspaniałe obrazy. Przez Newbridge, małe, hałaśliwe miasteczko, też przejechali w milczeniu, mimo że obszcze-kiwały ich psy, mali chłopcy pokrzykiwali, a z okien wychy-ły się zaciekawione twarze. Trzy mile dalej dziewczynka nadal nic nie mówiła – najwyraźniej potrafiła równie upar-cie milczeć, jak gadać.

32 | – Na pewno jesteś bardzo zmęczona i głodna – zagadnął ją w końcu Matthew, który nie umiał wytłumaczyć sobie inaczej tego długiego stanu odrętwienia. – Ale już niedale-ko, jeszcze tylko jedna mila.

Wyrwana z zadumy dziewczynka westchnęła głęboko i popatrzyła na niego rozmarzonym wzrokiem. Najwyraź-niej jeszcze przed chwilą jej dusza błądziła w jakiejś od-ległej krainie.

– Och, panie Cuthbert – szepnęła. – To cudowne miej-sce... Ta biała bajka... co to było?

– Ach, chodzi ci o Aleję? – zrozumiał Matthew po chwili głębokiego namysłu. – Rzeczywiście ładnie tam jest.

– Ładnie?! „Ładnie” nie wydaje mi się właściwym słowem. Nawet „pięknie” to za mało powiedziane. To było CUDOW-NE, po prostu cudowne. Nigdy dotąd nie widziałam czegoś, czego wyobraźnia nie mogłaby ulepszyć, dopiero teraz... Poczułam tutaj – przyłożyła dłoń do piersi – taką dziwną bolesną przyjemność. To śmieszne, że ból może być czasem przyjemny... Pan też miewa ten rodzaj bólu, panie Cuthbert?

– Nie, jakoś sobie nie przypominam.

– Bo ja czuję go dość często, zwłaszcza na widok czegoś królewsko pięknego. Ale nie powinno się nazywać tej dro-

gi Aleją, to przecież zupełnie nic nie znaczy! Zaraz, niech pomyśle... Ona powinna być... Białą Drogą Rozkoszy! Czyż to nie piękna nazwa? I tak działa na wyobraźnię! Ja, jeśli nie podoba mi się nazwa jakiegoś miejsca albo czyjeś imię, zawsze wymyślam sobie inne i w myśli tak do nich przemawiam. W sierocińcu jedna dziewczynka, Hepziba Jenkins, dla mnie była zawsze Rosalią De Vere. Niech więc sobie ludzie dalej nazywają tę drogę Aleją, a dla mnie dzisiaj zostanie Białą Drogą Rozkoszy. Czy naprawdę mamy do domu tylko jedną milę? Cieszy mnie to i martwi. Martwi: bo tak przyjemnie się jechało, a mnie zawsze jest żal, kiedy coś przyjemnego się kończy. Może później zdarzy się coś jeszcze przyjemniejszego, ale przecież nigdy nie wiadomo na pewno. I często wcale tak nie jest, tak przynajmniej mówi mi doświadczenie. A cieszę się, bo wreszcie dojeżdżamy do domu. Widzi pan, ja nigdy, odkąd pamiętam, nie miałam prawdziwego domu. Już sama myśl o tym sprawia mi znów ten przyjemny ból. Ach, jaki piękny widok!

| 33

Kiedy pokonali wierzchołek wzgórza, w dole ukazał się staw, tak długi i kręty, że można by go wziąć za rzekę. Pośrodku jego brzeży łączył most i od tego miejsca aż do niższego brzegu, gdzie pas bursztynowych wydmy oddzielał go od granatowej zatoki, woda mieniła się istną feerią barw – przeróżnych odcieni krokusowego fioleto, różu i delikatnej zieleni, a także innych, bardziej nieuchwytnych, które nawet nie miały jeszcze nazwy. Powyżej mostu staw okalały malownicze jodłowe i klonowe zagajniki i w przezroczystej wodzie można było dostrzec rozedrgane cienie drzew. Gdzieś tam wychylała się z brzegu dzika śliwa niczym dziewczyna w bieli, pragnąca koniecznie zobaczyć

swoje odbicie. Z mokradła na drugim końcu dobiegał czysty jednostajny lament żabiego chóru. Pośród białych kwiatów jabłoniowego sadu na zboczu widać było kontury niewielkiego szarego domu, a chociaż ciemność jeszcze nie zapadła, w jednym z jego okien paliło się światło.

– To Staw Barry’ego – powiedział Matthew.

34 | – O, ta nazwa też wcale mi się nie podoba! Zaraz coś wymyślę... już wiem: Jezioro Lśniących Wód! Tak, to znakomicie pasuje, poznaję po takim dziwnym dreszczu. Zawsze go czuję, kiedy uda mi się trafić w sedno. Pana też czasem przeszywa dreszcz?

– O tak – przyznał Matthew po chwili namysłu. – Zawsze czuję dreszcz na widok tych wstrętnych białych larw na grządkach ogórków. Nie cierpię ich!

– Ach, to chyba nie ten rodzaj dreszczu. Bo przecież nie ma wielkiego związku między jakimiś robalami a Jezio-rem Lśniących Wód. Ale dlaczego właściwie nazywacie je Stawem Barry’ego?

– Pewnie dlatego, że w tamtym domu mieszka pan Barry. To Sadowa Górka, tak nazywa się jego farma. A gdyby nie te wysokie drzewa z tyłu, mogłabyś już stąd zobaczyć Zielone Szczyty. Ale przez most i drogą naokoło będzie jeszcze dobre pół mili.

– Czy pan Barry ma jakieś córeczki? Takie w moim wieku?

– Tak, jedna ma około jedenastu lat. Na imię jej Diana.

– Oooh! Jak prześlicznie!

– No... sam nie wiem. Dla mnie jest w nim coś pogańskiego. Ja tam lubię zwykłe, sensowne imiona, jak Jane albo Mary. Ale kiedy ona się urodziła, mieszkał u Barrych nauczyciel i to jego poprosili o wybór imienia. I tak została Dianą.

– Szkoda, że kogoś takiego zabrakło przy moich narodzinach... O, wjeżdżamy na most. Zaraz zacisnę powieki, bo zawsze bałam się mostów. Po prostu nie umiem się powstrzymać od myśli, że kiedy znajdziemy się w połowie, most złoży się jak scyzoryk i nas pochłonie. Dlatego zamykam oczy, ale zawsze otwieram je, kiedy mi się zdaje, że zbliżamy się do środka. Bo widzi pan, gdyby most naprawdę miał się zawalić, to chciałabym to zobaczyć. Ależ to byłby huk! Czyż to nie wspaniale, że na tym świecie dzieje się tyle ciekawych rzeczy? O, już go mamy za sobą, więc mogę się obejrzieć. Dobranoc, drogie Jezioro Lśniących Wód! Zawsze mówię „dobranoc” miejscom, które kocham, tak samo jak ludziom, i myślę, że im się to podoba. Ta woda wygląda tak, jakby się do mnie uśmiechała.

| 35

Kiedy wyjechali z za zakrętu na kolejnym wzniesieniu, Matthew powiedział:

– Zaraz będziemy w domu. Zielone Szczyty są...

– Och, proszę nie mówić – przerwała mu szybko dziewczynka, chwytając go za uniesioną rękę i zamykając oczy, żeby nie zobaczyć, co pokazuje. – Niech sama zgadnę. Na pewno się nie pomylę.

Otworzyła oczy i rozejrzała się wokół. Znajdowali się na wierzchołku wzgórza, a chociaż słońce zaszło już jakiś czas temu, w zapadającym zmierzchu widać było wyraźnie całą okolicę. Po zachodniej stronie, na tle wyłączonego wciąż nieba rysowała się ciemna sylwetka kościelnej wieży. Niżej, tuż za dolinką, łagodnie wznosiło się długie zbocze z malowniczo rozrzuconymi zadbanymi gospodarstwami. Dziewczynka wodziła po nich kolejno wytęsknionym wzrokiem, aż wreszcie po lewej stronie, pod lasem zauważyła

oddalony od innych dom w otoczeniu kwitnących na biało drzew. Nad nim, na czystym niebie, niczym lampa wskazująca drogę wędrowcom, błyszczała duża gwiazda.

- To tam, prawda?

Matthew z zadowoleniem strzepnął wodzami klaczy.

- No tak, zgadłaś! Ale pewnie pani Spencer dokładnie ci wszystko opisała.

36 | - Ależ nie, naprawdę! To, co mówiła, mogło pasować także do tych wszystkich farm. Nie miałam pojęcia, jak wyglądają Zielone Szczyty, ale od razu wyczułam w nich swój dom. Och, to wszystko wydaje mi się snem! Muszę mieć rękę powyżej łokcia całą w siniakach, bo tyle razy się w nią dziś szczypałam. Co jakiś czas ogarniało mnie koszarne uczucie, że to jednak tylko sen, więc dla pewności musiałam się uszczypnąć, aż nagle uświadomiłam sobie, że nawet jeśli śnię, to wcale nie chcę się obudzić, no i przestałam... Ale w końcu wiem, że to prawda i że właśnie dojeżdżamy do domu.

I westchnąwszy z zachwytu, znowu popadła w milczenie. Matthew poruszył się niespokojnie. Jak dobrze, że to nie on, lecz Marilla będzie musiała powiedzieć tej nieszczęsnej sierocie, że dom, do którego tak tęskniła, nie jest jej mimo wszystko pisany. Minęli Dołek Lynde'a, gdzie było już ciemno (ale nie na tyle, by ich przejazd umknął oku czuwającej na posterunku pani Rachel), i skręcili w długą boczną drogę do Zielonych Szczytów. Zanim dotarli do domu, Matthew poczuł, jak w oczekiwaniu na wydarzenia najbliższych godzin wzbiera w nim jakaś niewytłumaczalna siła. I nie wiązało się to bynajmniej z kłopotami, jakie dla niego samego i Marilli wynikną z niefortunnej pomyłki



pani Spencer, tylko z rozczarowaniem dziecka. Na myśl o tym, że za chwilę cały blask tych roziskrzonych szczęściem oczu zgaśnie, miał dziwne wrażenie, że bierze udział w morderstwie – zupełnie jak przy zabijaniu jagnięcia, cielaka czy innej niewinnej istoty.

W końcu wjechali na zupełnie już ciemne podwórze, na którym ciszę zakłócał tylko cichy szelest topolowych liści.

– Słyszysz pan, jak drzewa mówią przez sen? – szepnęła dziewczynka, kiedy pomagał jej wsiąść. – Jakież miłe sny muszą mieć!

I ściskając kurczowo torbę „z całym swym ziemskim dobytkiem”, weszła za Matthew do domu.